



MACIEJ
ZABOROWSKI

Dzień uciekiniera

Po raz kolejny przekonałem się, że poza dużymi miastami sprawy można rozpoznawać z uśmiechem na ustach oraz szybko i sprawnie.

Nic nie zapowiadało, że ten majowy wyjazd na rozprawę będzie obfitował w tak liczne atrakcje. Do celu mojej podróży, powiatowego miasta z ponad dwudziestoma tysiącami mieszkańców, dotarłem tuż przed zmrokiem. Zachęcony wyśmienitą pogodą i architekturą niewielkiego niezniszczonego przez wojenną pożogę miasta, zdecydowałem o pokonaniu niewielkiego dystansu z dworca kolejowego do hotelu pieszo. Szybko okazało się, że był to wybór co najmniej niefortunny. Już bowiem kilka minut po rozpoczęciu spaceru trójka młodych dżentelmenów z wybrakowanym uzębieniem obrała sobie za cel moją bezo-

wą walizkę z aktami oraz laptopem.

Muszę przyznać, że odzwyczaiłem się już od takich przygód, które przecież w latach 90. i jeszcze na początku lat 2000 były na porządku dziennym. Zresztą sam często powtarzam, że w każdym nawet najbardziej bezpiecznym mieście na świecie da się „dostać w zęby”, jeśli tylko trafi się w niewłaściwe miejsce. Niestety w tym przypadku musiałem ratować się ucieczką. Schronienie znalazłem w niewielkiej pizzerii prowadzonej przez spolszczonego Włocha. I co prawda zdecydowanie nie wyglądał na przedstawiciela sycylijskiej Camorry, to jednak skutecznie odstraszył napastników.

Ponieważ miasto zwiedziłem w przyspieszonym tempie, na noc zostałem już w hotelu. Następnego dnia, jak się później okazało, przyniósł mi mniejsze atrakcje. Tym razem moja rola polegała na oskarżeniu, a nie bronienu, choć istniały w ogóle duże wątpliwości, czy sąd dopuści mnie do udziału w sprawie i czy cały wyjazd miał w ogóle sens. Przestępstwo, którego miał dopuścić się oskarżony, miało bowiem tzw. charakter formalny. Szanse na mój udział w każdym razie były niewielkie.

Pod salą w pewnym momencie pojawił się sam oskarżony. Ku mojemu zaskoczeniu, tylko gdy mnie zobaczył, uciekł w tempie nie mniej-

szym, niż ja uciekałem po małych urokliwych uliczkach dnia poprzedniego. Rozprawa, już wyłącznie z moim udziałem, zaczęła się od głośnego wyartykułowania przez Wysoki Sąd swojego zdziwienia:

– To aż do nas Warszawa przyjechała?

Następnie przeprowadzony został zaciekle spór pomiędzy protokolantką a Wysokim Sądem, czy będąca chlubą miasta statua jest najwyższą na świecie, czy dopiero drugą w kolejności.

Ku mojemu jeszcze większemu zaskoczeniu sąd nie tylko dopuścił mnie do udziału w rozprawie, ale także szybko wydał wyrok na niekorzyść mojego szanownego

procesowego przeciwnika. Rzec by można pełen sukces, choć używając terminologii piłkarskiej, osiągnięty walkowerem. Po raz kolejny przekonałem się także, że poza dużymi miastami sprawy można rozpoznawać z uśmiechem na ustach oraz szybko i sprawnie.

Pomimo licznych zachęt sądu i protokolantki nie zdecydowałem się na dalsze zwiedzanie miasta i po rozprawie szybko udałem się na dworzec. Tym razem zawiozła mnie tam taksówka, i to nie tylko dlatego, że chciałem szybko wrócić do rodziny. Po zamówieniu w Warsie tradycyjnych pierogów z mięsem i pomidorowej delectowałem się widokiem mija-

jących pięknych polskich krajobrazów. Wydawało się, że już nic nie może się zdarzyć.

Błogi stan przerwał niestety konduktor, który poprosił o przygotowanie paszportów w związku ze zbliżającym się przekroczeniem granicy i wjazdem do Niemiec... I w ten sposób znowu musiałem uciekać, tym razem z niewłaściwego pociągu. Dzięki temu miałem dużo czasu do zagospodarowania. Korzystając z tej okazji, sprawdziłem: to protokolantka miała rację – statua jest drugą w kolejności na świecie. Czasem więc nawet Wysoki Sąd może się pomylić. /@

Autor jest adwokatem i sędzią Trybunału Stanu